

Sylwester Szafarz

I. IMPRESJE OSOBISTE :

Jestem zdecydowanym zwolennikiem kompleksowego i jak najszerszego podchodzenia – bez zaściankowości i egocentryzmu – do najważniejszych problemów naszej cywilizacji. Jeszcze jako młody chłopiec lubiłem wylegiwać się letnią bezchmurną nocą na trawniku i podziwiać rozgwieżdżone niebo. Naturalnie, nie miałem wówczas pojęcia o tym, co może być tam daleko i wysoko? Nie wiedziałem wiele o Koperniku czy o Galileuszu. Nie rozumiałem pojęć: „galaktyka”, „kosmos”, „wszechświat” itp. Moim „światem” było, początkowo bliskie, lecz coraz szersze otoczenie. Już za młodu fascynowały mnie wszakże dość naiwne pytania typu: czym jest wszechświat i gdzie ma swój początek i koniec? Przecież muszą one gdzieś istnieć! Czy występują w kosmosie, poza Ziemią, istoty żywe i rozumne? Czy niebo – to rzeczywiście „siedziba” Pana Boga, wniebowziętych ludzi, aniołów i świętych? Dlaczego gwiazdy świecą, kiedy na Ziemi jest ciemno i czy – hen, hen wysoko i daleko – znajduje się jeszcze coś, poza Słońcem, Księżycem, Mleczną Drogą, widocznymi planetami i gwiazdami? Słowem – wszechświat intrygował mnie coraz bardziej i wciągał jak narkotyk. Tak też się dzieje po dziś dzień.

Jako nastolatek nie chciałem być kominiarzem, lecz astronomem. Miałem już pierwszą w życiu lunetę i pasjami podglądałem, zwłaszcza, nocne niebo, wędrówki Księżyca, jego metamorfozy, zaćmienia Słońca (przez okopcone szkło), zorze polarne, „spadające gwiazdy”, złowieszcze komety, sztuczne satelity itp. Czytałem książki o wszechświecie. Niewiele brakowało, bym studiował astronomię, astrofizykę czy kosmologię. Silna wola ciągłego pogłębiania wiedzy i poznawania wszelkich nowalijek naukowo-badawczych z tej dziedziny wywarła przemożny wpływ na moją świadomość, na rodzaj i jakość zdobywanej wiedzy oraz, mówiąc nieskromnie, na jak najszersze, wręcz kosmiczne, podejście do problemów nurtujących ludzkość, naszą planetę i wszechświat. Inne jest spojrzenie na wielkie problemy ludzi i Ziemi z Księżyca czy wysokości międzynarodowej stacji kosmicznej, a jeszcze inne – z głębi wielkiej depresji Morza Martwego. Fascynacja astronomiczna bardzo mi pomogła w pojmowaniu tych problemów i to też uważam za jedno ze swych największych dokonań życiowych i twórczych. Jednocześnie, współczuję, choć z pobłażliwością, z tolerancją i ze zrozumieniem, jakże licznym jeszcze zwolennikom zaściankowości, ciasnoty i egocentryzmu.

Nadal uważam się więc (li tylko!) za astronoma – amatora. I dobrze mi z tym. Życie potoczyło się wszakże inną drogą. Ukończyłem solidne studia ekonomiczne (na Wydziale Handlu Zagranicznego SGPiS/SGH). Tamże dowiedziałem się, przede wszystkim, jak należy uczyć się samemu (education permanente, non stop). Od tej pory, de facto, uczę się codziennie i samodzielnie. Założyłem sobie własny warsztat edukacyjno-badawczy i dokumentacyjny, nieustannie wzbogacany i urozmaicany. Opanowałem kilka języków obcych. Nie znam się na wszystkim (czyli na niczym); natomiast znam się nieco na kilku moich ulubionych dziedzinach (na niektórych – wręcz hobbystycznie). Naturalnie, prym w tym wiedzie astronomia, dyplomacja, politologia i ekonomia sensu largo (globalna). Udało mi się dość szczęśliwie skojarzyć w życiu i w pracy zawodowej: teorię z praktyką, astronomię z ekonomią i z dyplomacją oraz podejście szerokotorowe zamiast wąskotorowego. W wyniku tego, bez megalomanii, ale gwooli prawdy, odczuwam swoisty kompleks wyższości nad tymi, którzy myślą i postępują inaczej, czyli nad

wszelkiej maści ego(istami) i „kolejarzami wąskotorowymi” – świadomościowo i intelektualnie. Jeśli czasem ktoś mi powiada: „ty jesteś chyba człowiekiem światowym...”, to niewiele się myli. Faktem jest bowiem, iż poznałem kawał świata, zdołałem już odwiedzić ponad 150 krajów i jeżdżę dalej (ostatnio: do Chin, do Hong Kongu, w rejon Zatoki Perskiej i do Azji Środkowej – Iran, Pakistan...). Tak, gdzie dzieje się coś ciekawego i ważnego dla wszystkich. Ale wszystkich krajów zaliczyć nie zdołałem – życie jest zbyt krótkie. Od początku pracuję nieprzerwanie w służbie zagranicznej. Poza krajem spędziłem prawie 20 lat, od Paryża, poprzez Pragę, aż do Pekinu, Szanghaju i Ho Chi Minh City – z jednego krańca Euroazji na drugi. Jestem zdecydowanym zwolennikiem konkretnej dyplomacji ekonomicznej a nie anachronicznej dyplomacji koniakowo–salonowej, li tylko. Jako rzeczony „człowiek światowy” – myślę sobie, w skrytości ducha, iż wolałbym być raczej „człowiekiem wszechświatowym”. Wielu myśli podobnie jak ja, ale jest to jeszcze nieosiągalne „marzenie ściętej głowy” – choć tzw. kolonizacja kosmosu przez Ziemiaków czy, na początek, turystyka kosmiczna, jest już coraz bardziej prawdopodobna; ba, może być nawet wręcz konieczna! Faktem jest także, iż nasza Matka – Ziemia staje się coraz „mniejsza” (wioska globalna = global village). Jest to, bez wątpienia, spektakularnym efektem postępu naukowo–technicznego i jego zastosowań praktycznych w całym okresie od I rewolucji przemysłowej (czyli od końca XVIII wieku), a szczególnie w czasach po II wojnie światowej i współcześnie. Postęp ów dokonuje się, zwłaszcza, w sferze nauki, techniki, medycyny, łączności i transportu. A jednak, świadomość i wiedza „średniego Ziemianina” wlecze się jeszcze daleko w tyle za czołówką postępu.

II. ZŁOŻONOŚĆ ŚWIATOWYCH PROBLEMÓW

Niniejsze opracowanie o niepewnej teraźniejszości i przyszłości Ziemi jest skromnym acz dojrzałym owocem moich medytacji, przemyśleń, analiz, dociekań i doświadczeń praktycznych z okresu całego świadomego życia i pracy – nieomalże od lat szczeniących poczynając (hobby astronomiczne). Opracowanie koncentruje się, w szczególności, na ewolucji cywilizacji ludzkiej, fauny i flory na Ziemi, na rozwoju społeczno – gospodarczym oraz w okresie postjałtańskim i po obaleniu „muru berlińskiego”. Analiza prezentuje się więc w oryginalnym ujęciu dynamicznym, adekwatnie do rozwoju wydarzeń, często znacznie je wyprzedzając w czasie bądź też analizując je skrupulatnie in statu nascendi lub post factum. Jeśli zaś chodzi o treści, to – w ogólności – relatywnie mało jest opracowań kojarzących elementy politologiczne, ekonomiczne, finansowe, strategiczne, społeczne i ekologiczne. Zaś od strony metodologicznej – moje podejście jest spokojne, racjonalne i wyważone oraz wolne od skrajności. Piszę wprost, po ludzku, o tym, jak rzeczy mają się „tak naprawdę”.

Nie straszę Czytelników nieuchronną Apokalipsą ani też nie uspokajam i nie usypiam ich czujności na zasadzie: „ludzie, nic się nie stało, nic się nie dzieje i nic się nie stanie”! Wręcz przeciwnie. O trudnych sprawach piszę zdecydowanie i odważnie, gdyż taką mam już naturę. Nie taję, przy tym, iż odczuwam dużą satysfakcję z tego powodu, że niemało moich prognoz sprzed wielu, wielu lat sprawdza się obecnie co do joty (np. w sprawach amerykańskich, chińskich, czy kryzysowych). Ale jednocześnie przykro mi, że ostrzeżenia „proroków”, futurologów i wielu mądrych ludzi na świecie – to ciągle głosy „wołających na puszczy”, z reguły lekceważone przez decydentów. Dlatego też jest tak, jak jest; a będzie jeszcze „lepiej”. Jednak mój dylemat psychologiczno – intelektualny jest poważny: czy słuszniej jest nie wiedzieć o pewnych „strasznym rzeczach” i spać spokojnie; czy też wiedzieć o nich rzetelnie i również... spać spokojnie. Z obydwu możliwości tej alternatywy wybieram tę drugą, postępując zgodnie z

zasadą: „cogito ergo sum” („myślę więc jestem”).

Główny wniosek ogólny, wynikający z własnych analiz politologicznych, ekonomicznych, socjologicznych i filozoficznych z okresu całego mego świadomego życia i pracy, jest jednak dość przygnębiający: sytuacja ludzi i innych istot żywych na Ziemi oraz naszej planety – jako instytucji wszechświatowej pogarsza się nieustannie i coraz bardziej wraz z upływem czasu. Tymczasem, zdecydowanej większości Ziemian, ciągle żyjących w błogiej nieświadomości i, nierzadko, nadmiernie przemądrzałych, wydaje się nadal, że jest wręcz odwrotnie, czyli – coraz lepiej!? Traktują oni pobożne życzenia jako realia i usiłują budować swą przyszłość na kruchej tafli lodu teraźniejszości. Dotyczy to, w szczególności, pokolenia kryzysowego (30–to i 40–latków), licznych lemingów i lemurów, szarokomórkowych analfabetów i półanalfabetów, młodych i wiecznie młodych internautów oraz półinteligentów ślizgających się leniwie po powierzchni zjawisk zamiast ich zgłębiania. Słowem, wszystkich tych (i im podobnych), których Mario Monti, były premier włoski, określił mianem „zmarnowanego (straconego) pokolenia” („generazione perduta”), w wykładzie dnia 23 sierpnia 2012 r., w Rimini.

Żyjemy w czasach wielkich paradoksów. Oto kilka najbardziej szokujących spośród nich:

a. pokój – wojna. Niby nie doszło III wojny światowej w starym stylu, choć nie ma pewności, że już nigdy do niej nie dojdzie?! Ale w okresie po II wojnie, było zaledwie kilka tygodni rzeczywistego pokoju, kiedy nigdzie nie grały armaty i rakiety oraz nie lała się krew. Obecnie trwa też wiele wojen domowych i regionalnych oraz co najmniej cztery „branżowe” wojny światowe: ekonomiczna, surowcowa, informatyczna i terrorystyczna (zwyczajny terroryzm walczy z terroryzmem państwowym i vice versa);

b. nędza – bogactwo. Stale pogłębia się przepaść między biegunem nędzy a biegunem bogactwa w poszczególnych krajach i w skali światowej. Kryzys globalny nasilił to zjawisko. Kilka miliardów ludzi dysponuje zaledwie kwotą 1 – 2 USD na codzienne utrzymanie, zaś fortuny kilku procent bogaczy wzrosły niebotycznie. Znane hasło alterglobalistów amerykańskich: „99% biednych i 1% bogatych w USA i na świecie” jest bliskie prawdy;

c. humanizm – zezwierzęcenie. W zastraszającym tempie postępuje dehumanizacja i brutalizacja stosunków międzyludzkich i międzynarodowych. Człowiek oraz jego dobro i życie liczy się coraz mniej. Starożytne powiedzenie: „homo homini lupus est” nabiera teraz przerażających rozmiarów i tragicznego wydźwięku. Człowiek oddala się coraz bardziej od swego ideału/pierwowzoru stworzonego przeciw „na obraz i podobieństwo boże”. To wynik ideologii pieniądza i związanej z nią praktyki, nędzy szerzącej się w świecie, braków surowcowych, żywnościowych i energetycznych oraz powszechnej anarchizacji, degradacji i demoralizacji życia i ludzi, szczególnie przy pomocy zdradliwego internetu, opacznej edukacji oraz sprzedajnych i stronniczych mediów. Na tym gruncie nasilają się coraz bardziej zjawiska nacjonalistyczne, fundamentalistyczne, faszystowskie i terrorystyczne;

d. postęp – zacofanie. Jest to chyba najbardziej niepojęty z wielkich paradoksów cywilizacyjnych. Bowiem imponujący postęp naukowo – techniczny i praktyczne zastosowania jego owoców poprawiają sytuację tylko nielicznej grupy Ziemian (mających, wpływowych i utalentowanych); podczas gdy przygniatająca większość spośród nich pogrąża się coraz bardziej w otchłani tzw. wykluczenia (głód, choroby, bezrobocie, analfabetyzm, ciemnota, prześladowania, destrukcja środowiska naturalnego, zmiany klimatyczne, ekstremalne zjawiska pogodowe, brak czystej wody i in.). Współczesnych paradoksów tego rodzaju jest znacznie więcej.

Najbardziej dosadnym zewnętrznym wyrazem ilustrującym ewolucję pogarszającej się sytuacji w łonie społeczności ludzkiej są fluktuacje poziomu napięcia w stosunkach międzynarodowych.

Nie dysponujemy niezawodnymi instrumentami pomiarowymi owego poziomu i jednoznacznymi wynikami badań tego rodzaju. Można podawać jedynie przybliżone dane, na które składa się suma (wypadkowa) przeróżnych czynników generujących wzrost lub obniżanie poziomu napięcia. Najogólniej rzecz ujmując, w okresie postjałtańskim, kształtuje się ono sinusoidalnie, raz wyżej, raz niżej. I tak, po krótkotrwałej euforii zwycięstwa nad faszyzmem, nacjonalizmem i militarystką niemiecko-japońsko-włoską, dość szybko nastąpiła „zimna wojna” między Wschodem i Zachodem oraz szaleńczy wyścig zbrojeń, także w zakresie broni masowej zagłady i środków jej przenoszenia. Zapoczątkowano militaryzację kosmosu. Kolejne wojny: koreańska, indochińska (szczególnie wietnamska), bliskowschodnia i wiele innych pomniejszych, kryzys kubański a nawet zbrojna konfrontacja radziecko-chińska itp. znacznie podwyższyły poziom napięcia. Pokojowa przyszłość naszej cywilizacji zawisała na włosku i wisi na nim w dalszym ciągu.

Na krótko, opamiętanie nadeszło w latach 70. ubiegłego wieku dzięki ideom odprężenia, niezaangażowania i pokojowego współistnienia. Ich symbolem była KBWE i tzw. proces helsiński. Temu zawdzięczamy, m.in., pozytywne przemiany w Europie (gdzie zapoczątkowane zostały przecież dwie wojny światowe!). W wyniku tych przemian możliwe było powstanie i rozszerzanie Unii Europejskiej. Nieco później, swoistym bezprecedensowym fenomenem dziejowym był fakt, iż rozpad ZSRR (i tzw. imperium radzieckiego) oraz zjednoczenie Niemiec (obalenie „muru berlińskiego”) dokonało się bez wojny światowej.

Globalny system jednobiegunowy (USA), który powstał na gruzach dwubiegunowego, przyniósł jednak fatalne owoce dla naszej cywilizacji (wojny regionalne, kryzys globalny...). USA uwierzyły, wprawdzie na krótko, w swoją dominację, dyktaturę, nieomylność i niezwyciężoność w świecie, usiłując wprowadzać w nim Pax Americana. W wyniku tego, Stany Zjednoczone wywołały kolejne wojny: w Zatoce Perskiej, w Afganistanie, w Iraku, w Syrii, na Bałkanach i in. Nie wygrały jednak większości z tych wojen. Ubocznym efektem irracjonalnej Pax Americana jest także ogromna fala rewolucji i ruchów społecznych w państwach islamskich Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu oraz morze krwi przelewanej np. w Libii, w Syrii, w Egipcie, w Iraku i w Afganistanie (nadal), w Pakistanie i in.

W I dekadzie XXI wieku poziom napięcia globalnego znów poszedł niebezpiecznie do góry, tym bardziej, iż sytuacja pogorszyła się również na Dalekim Wschodzie (np. między Chinami i Japonią) oraz w stosunkach rosyjsko-amerykańskich. W sumie nawet, jeśli ów poziom napięcia kształtuje się nadal sinusoidalnie, to jego wypadkowa (w linii prostej) unosi się jednoznacznie ku górze. Na tym polega wielkie niebezpieczeństwo dla świata, tym bardziej, iż nie wiadomo dokładnie, gdzie znajduje się granica bezpieczeństwa, której nie wolno przekroczyć. W tej sytuacji, niewyobrażalne nieszczęście może zdarzyć się w każdej chwili, nawet przez przypadek, np. wyglup szaleńca, błąd człowieka, robota czy komputera itp.

III. ŁAD I NIEŁAD

W naszych czasach (i w całej historii cywilizacji ludzkiej) negatywy (i straty) rozwojowe znacznie dominują nad pozytywami (i korzyściami). Ogólny (całościowy) bilans dokonań Ziemi jest ujemny. Jeśli coś udało się im osiągnąć (np. kolonizacja, odkrycie Ameryki, dekolonizacja, postęp naukowo-techniczny i in.) to – jakże często – w wyniku... wojen lub przygotowań do wojowania. Koszty uzyskania osiągnięć są więc nieproporcjonalnie wysokie w stosunku do ich wartości. Teraz jednak bez porównania większa i groźniejsza jest dysproporcja i skala tego zjawiska (np. „demokratyzacja” czy „amerykanizacja” Iraku, Libii, Egiptu czy Syrii za cenę morza

krwi i Himalajów zniszczeń). Tym bardziej, że Zachodowi chodzi przy tym o własne interesy strategiczne, o osłonę Izraela, o ropę naftową i o gaz a nie o „demokratyzację” producentów tych surowców. Uzasadnienie merytoryczne pogarszającej się – generalnie – sytuacji Ziemi i Ziemi zaczniemy od aspektów geopolitycznych.

Rzeczywisty ład światowy

W tym zakresie, największym problemem i niebezpieczeństwem zarazem jest notoryczny brak efektywnego i optymalnego ładu międzynarodowego oraz systemu (ustroju) polityczno – społecznego w poszczególnych krajach (z nielicznymi wyjątkami, typu Szwajcaria czy państwa skandynawskie). Można wręcz stwierdzić, iż pożądany ład międzynarodowy nie istniał nigdy w całej historii naszej cywilizacji. Ciągłe walczy się o „nowy ład”, a przecież odpowiedniego starego ładu nie było! Jeśliby istniał, to nie byłoby tylu wojen i tylu nieobliczalnych i niepotrzebnych strat, a rozwój świata dokonywałby się w normalnym trybie i dla dobra wszystkich Ziemi. Wielcy wodzowie starożytności i średniowiecza, a później: Napoleon, Hitler, Stalin, Mao Zedong czy Reagan usiłowali tworzyć „łady” regionalne czy światowe na miarę swej wybujałej wyobraźni i ambicji supermocarstwowych, ale żaden z nich nie przetrwał zbyt długo. Również w okresie postjałtańskim pojawił się układ sił (ład) dwubiegunowy i jednobiegunowy, ale one oba także wylądowały na śmietniku historii. Doczekaliśmy się czasów, kiedy – zamiast sensownego ładu – mamy pustkę systemową i anarchizujący nieład globalny w tej mierze. Obludne i nieskuteczne poszukiwania ładu (np. na forum ONZ) trwają nadal, choć mało kto wie, jak ów ład ma wyglądać? Pewne nadzieje należy wiązać jednak z wielobiegunowym układem sił na świecie, pojawiającym się już na horyzoncie. Tworzą się nowe ośrodki siły i lokomotywy (pomyślniejszego?) rozwoju naszej cywilizacji: Chiny, BRICS, ASEAN, Unia Afrykańska in. Jednak, mimo zapału i entuzjazmu promotorów, kreowanie ładu wielobiegunowego następuje powoli i napotyka na ogromne przeszkody, głównie w postaci wzrostu napięcia międzynarodowego i kryzysu globalnego oraz oporu materii ze strony starego antysystemu.

Istotnym elementem obecnego nieładu międzynarodowego są tzw. organizacje pozarządowe (NGOs = Non-Governmental Organizations). Ich liczby idą w miliony. Niestety, ilość nie poprawia jakości ich działania. Wręcz przeciwnie. Liczba NGOs funkcjonujących na arenie międzynarodowej wynosi około 50.000. Zaś w skali krajowej jest ich znacznie więcej: Indie – 3,5 mln (!); USA – 1,5 mln; Rosja – 277.000. Nie ma praktycznie dziedziny życia i pracy, w której nie funkcjonowałyby NGOs. Ich działalność jest jednak bardzo mało efektywna; razi w niej dublowanie i brak koordynacji poczynań. Dlatego też, w rzeczywistości nowym ładzie międzynarodowym, anachroniczny i rozdęty system NGOs wymagałby radykalnej redukcji, optymalizacji i uzdrowienia. Organizacje te powinny skutecznie pomagać społeczeństwom i ludziom w potrzebie, państwom, rządowi i całemu światu w rozwiązywaniu wielkich problemów i wyzwań współczesności.

Radykalnych reform i sanacji wymaga także przestarzały system rządowych organizacji międzynarodowych, szczególnie ONZ (tzw. United Nations Family). Powstały one w diametralnie odmiennej sytuacji, niekiedy jako bękarty umowy jałtańskiej. I od tamtej pory się nie zmieniły. Pozostały one, w zasadzie, tylko forum dyskusyjnym i propagandowym, maszynką do głosowania i, przez długi czas, potulnym elementem w prowadzeniu polityki globalnej USA. Nie może dalej być tak, iż postjałtańscy stali członkowie Rady Bezpieczeństwa ONZ dysponują nadal prawem weta i decydują samowolnie za innych. Skład Rady nie odzwierciedla współczesnego układu sił na świecie (Indie, Japonia, Australia, Iran, RPA, Nigeria, Brazylia,

Niemcy, Kanada itp.?). Wielkie koszty utrzymania ONZ i innych organizacji międzynarodowych nie przekładają się na pożądane efekty ich działalności. Np. szokuje opieszałość i impotencja ONZ w sprawach bliskowschodnich, ekologicznych, społecznych, terrorystycznych i w wielu innych. „Medice cura te ipsum” („lekarzu wylecz się sam”) – chce się powiedzieć.

Na ogólny nieład światowy nakłada się, co gorsza, brak odpowiedniego i optymalnego systemu (ustroju) w poszczególnych krajach (z ww. nielicznymi wyjątkami). W okresie pre- i postjałtańskim, następujące po sobie systemy waliły się jak domki z kart: neokapitalizm, liberalizm, faszyzm, sowietyzm i, wreszcie, amerykański skrajny neoliberalizm. Właśnie owe liberalizmy („niewidzialna ręka rynku”) wywołały dwa wielkie kryzysy globalne, z których pierwszy doprowadził do II wojny światowej. Na palcach jednej ręki można by policzyć dziś te państwa (spośród ponad 200-tu istniejących), które dysponują klarownym, optymalnym i efektywnym systemem polityczno-społeczno-gospodarczym. Nie ma go nawet w USA! Tragiczny to bilans ewolucji systemowej naszej cywilizacji w okresie minionych 7.000 lat! Także i w tej sferze występuje obecnie dotkliwa i bardzo niebezpieczna luka systemowa, która powinna trwać jak najkrócej, ale usuwanie której wydłuża się w nieskończoność.

Fachowcy pytają: co po skrajnym neoliberalizmie? Autentyczna demokracja? Społeczna gospodarka rynkowa? Model chiński? Model szwajcarski? Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to kardynalne pytanie. W każdym razie, nasza cywilizacja wkroczyła w postamerykański etap swego rozwoju; są przeto niemałe szanse na to, że będzie on lepszy od poprzednich etapów. Wydaje się wszakże, iż – w okresie przejściowym – można by zaproponować szwajcarsko-skandynawski model demokracji, polityki zagranicznej i społecznej gospodarki rynkowej, w odniesieniu do krajów rozwiniętych i do niektórych emerging nations; zaś model chiński, z odpowiednimi modyfikacjami, w stosunku do państw rozwijających się. Ale byłyby to tylko rozwiązania tymczasowe, niegwarantujące trwałej poprawy sytuacji w świecie i w poszczególnych krajach oraz obniżenia poziomu napięcia międzynarodowego. W tym kontekście, dość karykaturalnie prezentują się pozorowane starania niektórych ludzi i instytucji, szczególnie ONZ, ws. wprowadzenia tzw. zrównoważonego rozwoju (sustainable development). Na ogół, kończy się to gadulstwem na kosztownych konferencjach światowych (np. w Monterrey czy w Johannesburgu) i brakiem konkretnych poczynań realizacyjnych. Szkoda, bowiem sama idea zrównoważonego rozwoju jest dobra i odpowiednia celem rozwiązywania wielkich problemów naszych czasów. Ale, póki co, niemożliwa do praktycznego urzeczywistnienia – z uwagi na ww. przeszkody, brak środków i konflikty interesów, szczególnie pomiędzy supermocarstwami.

Wojna - pokój

Spośród geostrategicznych przyczyn systematycznego pogarszania się sytuacji Ziemi i Ziemi wymienić należy na pierwszym miejscu odwieczną skłonność natury ludzkiej do rozwiązywania istniejących problemów, sporów i konfliktów przeważnie metodami siłowymi (niepokojowymi). Jednak, o ile kiedyś metody te nie stanowiły aż tak wielkiego zagrożenia dla całej ludzkości i dla życia na Ziemi, to obecnie, poczynając od Hiroszimy i od Nagasaki, kryją one w sobie śmiertelne niebezpieczeństwo dla wszystkich. Hard power (siła oręża), wielkie i coraz nowocześniejsze potencjały militarne supermocarstw oraz ich konfrontacja stanowią jedno z największych zagrożeń dla życia na Ziemi. Obok wyżej wymienionych, kolejnym wielkim paradoksem naszych czasów jest fakt, iż postęp naukowo-techniczny oraz najwspanialsze wynalazki geniuszu ludzkiego i sztucznej inteligencji (komputerowo-robotowej) dokonywane są, z reguły i w pierwszym rzędzie, z myślą i ich zastosowaniach militarnych (np. bomby nuklearne,

satelity szpiegowskie, internet, nanotechnologie, robotyzacja pola walki i in.). W sprawach geostrategicznych przedstawiam jedynie najważniejsze nowalijki, stanowiące zarazem największe niebezpieczeństwo dla Ziemi i dla Ziemiaków:

a. ewolucja doktryn militarnych. W okresie postjałtańskim, największe skłonności agresywne i wojownicze wykazywały niezmiennie: USA, ZSRR, Izrael oraz byłe mocarstwa kolonialne: W. Brytania i Francja. Pozostali czołowi agresorzy, szczególnie Niemcy i Japonia, byli raczej potulni po swej wielkiej klęsce w II wojnie światowej. Jestem jednak przekonany, iż nie powiedziały one jeszcze ostatniego słowa w tej mierze. Niemcy posiadają już jedną z najnowocześniejszych armii świata. Zaś Japończycy przekształcają swe „siły samoobrony” w regularną i też bardzo nowoczesną armię. Starożytna zasada: „si vis pacem, para bellum” („jeśli chcesz pokoju, to szykuj się do wojny”) stosowana jest nadal w całej rozciągłości. Towarzyszy temu przyspieszona ewolucja i modernizacja doktryn militarnych (praktycznie) wszystkich państw, szczególnie supermocarstw, NATO, Wspólnoty Niepodległych Państw czy Szanghajskiej Organizacji Współpracy. Od konferencji jałtańskiej do upadku systemu jednobiegunowego (2009 r.), względny pokój światowy był utrzymywany na zasadzie odstraszania bronią masowej zagłady, równowagi strachu oraz tzw. MAD (Mutually Assured Destruction = zapewnione wzajemnie zniszczenie). Tzn., iż, państwo zaatakowane np. bronią raketowo-nuklearną, miałoby jeszcze dość sił, aby zadać niszczycielski cios odwetowy stronie atakującej. Były (i są) to doktryny nonsensowne, absurdalne i bardzo niebezpieczne. Gwałtowny postęp w zakresie technologii i techniki militarnej, komputeryzacja i robotyzacja pola walki, straty poniesione w wyniku kryzysu globalnego, militaryzacja gospodarki celem odrabiania tych strat, rywalizacja o surowce, o rynki zbytu i in. sprawiają, iż siły zbrojne poszczególnych państw, szczególnie najbardziej agresywnych supermocarstw, elastycznie i pospiesznie modyfikują swe doktryny militarne – stosownie do nowych uwarunkowań. Istota tych zmian polega, przede wszystkim, na uzyskaniu możliwości zadania od razu nokautującego ciosu przeciwnikowi, na maksymalnym odsunięciu potencjalnego pola walki od własnego terytorium oraz na stosowaniu tzw. uderzeń wyprzedzających (pre-emptive strikes). W przypadku realizacji takich doktryn w praktyce, polem walki może stać się cała Ziemia. W oparciu o nie, US Army walczy z przeciwnikami w odległym Afganistanie, a władze Stanów Zjednoczonych nadal usiłują odwracać uwagę Amerykanów od poważnych problemów wewnętrznych, narzucać Pax Americana innym, szczególnie na Bliskim i Środkowym Wschodzie oraz powracać, de facto, do nierealnej już roli supermocarstwa jednobiegunowego. Nie jest to możliwe, z uwagi na osłabienie USA w wyniku kryzysu i na zmianę układu sił w świecie na ich niekorzyść. Inne supermocarstwa, szczególnie Chiny i Rosja, podchodzą nadspodziewanie spokojnie do awanturniczej i wojowniczej polityki USA, np. w kwestii Afganistanu, Iraku, Egiptu, Syrii i in. Jest to bowiem polityka samobójcza, w związku z czym nie należy „pomagać” Waszyngtonowi w jego dążeniu do popełnienia samobójstwa, jeśli tylko on sam tak bardzo pragnie tego! Co gorsza, wielomiliardowe i mało efektywne nakłady na wojowanie pogarszają katastrofalną sytuację budżetową w USA oraz zwiększają ich łączne zadłużenie do niebotycznych rozmiarów (skumulowane długi Stanów Zjednoczonych – państwowy, korporacyjny, konsumencki, zagraniczny i ukryty – sięgają już 134 bln USD, czyli prawie 8-krotnej wartości nominalnego PKB, który, w 2012 r., wyniósł 16,62 bln USD);

b. nowy etap wyścigu zbrojeń. Na początku XXI wieku świat wkroczył w nową – jakościowo – fazę wyścigu zbrojeń. Zdawać by się mogło, że upadek Związku Radzieckiego i systemu dwubiegunowego osłabi nieco tempo zbrojeń. Tak się jednak nie stało. Globalne nakłady na cele militarne oscylowały, w owym czasie, na poziomie 2 bln USD rocznie. Same Stany

Zjednoczone przeznaczały na te cele około 700 mld USD rocznie. Wyścig był stymulowany przez wojny rozpętane i prowadzone przez USA, szczególnie w Iraku i w Afganistanie oraz przez ogólny wzrost napięcia międzynarodowego i przez zjawiska kryzysowe. Te ostatnie zmusiły rządy do niewielkich cięć i oszczędności w budżetach wojskowych, ale i tak utrzymują się one na bardzo wysokim poziomie. Jak podaje „SIPRI Yearbook 2013” (SIPRI = Stockholm International Peace Research Institute), globalne nakłady na zbrojenia wyniosły łącznie 1,75 bln USD, w roku 2012. Czołówka światowa w tej dziedzinie przeznaczyła wówczas następujące sumy na te cele: USA – 628 mld USD (39% ogółu wydatków globalnych); Chiny – 166 mld USD (9,5%); Rosja – 90,7 mld (5,2%); W. Brytania – 60,8 mld USD (3,5%) i Japonia – 59,3 mld USD (3,4%). De facto, zdecydowana większość krajów, także najbiedniejszych, podnosi swe nakłady na cele militarne. Za nową jakość uzbrojenia trzeba płacić znacznie więcej niż za starą ilość (duża liczebność „siły żywej”, ciężkiej broni pancernej, artylerii, samolotów, okrętów bojowych itp.); ich udział w nowoczesnych siłach zbrojnych będzie ograniczany do niezbędnego minimum. Spirala wyścigu zbrojeń kręci się z coraz większą szybkością. Prym w wyścigu modernizacyjnym w zakresie sił zbrojnych wiodą: USA, Rosja, Chiny, Japonia, Izrael i in. Poza klubem nuklearnym, już kilkadziesiąt państw świata może wejść w posiadanie tej i innych broni masowej zagłady. Casus syryjski jest wielce wymowny w tym względzie.

Ww. sumy mogą jednak nie wystarczyć na finansowanie przestawiania sił zbrojnych na nowe tory jakościowe, szczególnie na komputeryzację i na robotyzację pola walki. Jej dobitną ilustracją są już rakiety samosterujące (np. typu tomahawk), inne precision guided missiles oraz tzw. drony (drones = samoloty bezzałogowe). Uderzają one w wyznaczone cele z ogromną precyzją i siłą. Następuje szybko doskonalenie (i miniaturyzacja) wszelkich broni masowej zagłady, środków jej przenoszenia, przy jednoczesnym zwiększaniu mocy uderzeniowej i niszczyielskiej oraz militaryzacja przestrzeni kosmicznej. Istnieje ryzyko, iż mądre roboty i komputery oraz inne instrumenty bazujące na sztucznej inteligencji, mogą wymknąć się spod kontroli człowieka, wydawać rozkazy same sobie i wówczas totalna zagłada życia na Ziemi byłaby prawie nieunikniona. Zdaniem strategów izraelskich, siły zbrojne tego państwa potrzebują około pięciu lat na całkowite przestawienie się na nowe tory jakościowe oraz na kompleksowe unowocześnienie. Liczą oni na to, iż – w ww. okresie czasu – islamscy sąsiedzi (Syria, Egipt, Irak, Libia, Liban, Jemen, Palestyna i in.) nie będą w stanie zaatakować Izraela – z uwagi na trudności gospodarcze oraz niepokoje i perturbacje społeczno-polityczne w tych krajach. W tym sensie, owe niepokoje są bardzo na rękę państwu żydowskiemu, które podsyca ten ferment islamski.

c. wojny z terroryzmem. Niestety, sprawdziły się w znacznym stopniu prognozy futurologów izraelskich (sprzed kilkadziesiątu lat) nt. zasadniczej zmiany charakteru przyszłych wojen – nie państwo z państwem, nie armia z armią, nie grupa państw z grupą państw, nie koalicja armii z koalicją armii itp.; lecz państwa (armie) z siłami terrorystycznymi i vice versa. Punktem zwrotnym na gorsze w tych przemianach i procesach był dzień 9 września 2001 r. (tzw. nine–eleven) – atak samolotami pasażerskimi na 2 wieżowce World Trade Center w Nowym Jorku i na inne obiekty w USA. Okoliczności tego ataku nie zostały jeszcze wyjaśnione do końca. Nawet wielu obywateli amerykańskich nie kryje swych wątpliwości w tym względzie. Niemniej jednak władze USA uznały to za wygodny pretekst do intensyfikacji swej globalnej walki z terrorystami (war on terror). Ze zwiększającą się intensywnością trwa ona już kilkanaście lat. Ale konsekwencje tej konfrontacji globalnej są, póki co, bardzo odległe od oczekiwań i zamiarów promotorów amerykańskich i zachodnich – w ogólności. Żaden kraj i żadne społeczeństwo nie jest już wolne od zagrożenia terrorystycznego. Obywatele żyją w

coraz większym strachu – nigdy nie wiadomo, kiedy, czym, jak i gdzie mogą uderzyć terroryści? Zamiast osłabienia ugrupowań i sił terrorystycznych mamy do czynienia z ich umocnieniem i z ożywieniem ich działalności nieomalże w całym świecie. Nawet zamordowanie Osamy ben Laden'a nie zneutralizowało al-Kaidy i jej poczynąń. Wręcz przeciwnie!

Inny paradoks: formacje talibańskie zostały kiedyś utworzone, wyszkolone, uzbrojone i finansowane przez USA/CIA celem walki z wojskami radzieckimi w Afganistanie. Jednak, po ich wycofaniu się stamtąd, obróciły się one przeciwko swym twórcom i promotorom oraz przeciwko proamerykańskim rządóm niektórych krajów, szczególnie Afganistanu i Pakistanu. Niemal codzienne już ataki, zamachy i inne akcje terrorystyczne w wykonaniu talibów i ich popleczników oraz al-Kaidy, to prawdziwa zmora dla instytucji państwowych i dla obywateli wielu krajów. USA i Zachód stosuje więc niewłaściwe i nieskuteczne „lekarstwo” w zwalczaniu tej plagi. Tym bardziej, że jest ona stymulowana przez tragiczne konsekwencje wieloletnich wojen oraz kryzysu gospodarczego. Jakie wyjście mają, np., młodzi Afgańczycy pozbawieni jakichkolwiek szans rozwojowych, nękani biedą, bezrobociem, głodem, epidemiami i innymi nieszczęściami? Wstępują w szeregi talibów, którzy obiecują im lepsze życie.

Zresztą, analogiczne dramaty społeczno-gospodarcze w innych krajach islamskich skłoniły milionowe rzesze niezadowolonej młodzieży do czynnego udziału w wielkim zrywie rewolucyjnym w Afryce Północnej oraz na Bliskim i na Środkowym Wschodzie. Póki co, jedną z głównych konsekwencji tego zrywu jest bezprecedensowa i bardzo groźna dla świata destabilizacja ww. regionów. Wniosek z tego jest prosty: leczenie epidemii terrorystycznej nie powinno polegać na stosowaniu terroryzmu państwowego wobec normalnego terroryzmu (a tak czyni to Zachód), lecz na usuwaniu korzeni i przyczyn (szczególnie społeczno-ekonomicznych i ideologicznych) tegoż terroryzmu. W przeciwnym bowiem razie, stanie się on śmiertelnym zagrożeniem dla całego świata oraz instrumentem nieznośnego psychicznego i fizycznego szantażowania całej ludzkości, szczególnie w przypadku, gdyby terroryści weszli w posiadanie broni masowej zagłady oraz intensyfikowali nadal swoje mordercze działania..

W konkluzji, długo zastanawiałem się nad możliwościami usunięcia głównych zagrożeń geostrategicznych (szczególnie militarnych) dla życia na Ziemi. Analiza moja obejmuje nie tylko epokę postjałtańską, lecz – praktycznie – całościową przeplatankę pokoju i wojen oraz ewolucję „miecza i tarczy” w historii naszej cywilizacji. Wnioski wynikające z tej analizy są smutne i przerażające: człowiekowi nigdy (do tej pory) nie udało się wyeliminować wojen i metod siłowych ze swego istnienia i rozwoju oraz zapewnić trwałego (wiecznego) pokoju w nim! To dyskwalifikuje człowieczeństwo – jako zbiorowość istot (rzekomo) myślących i inteligentnych. Historia uczy, iż – nawet po dłuższym okresie pokoju – z reguły dochodziło do wojen niszczących dorobek pokojowego wysiłku państw, narodów i grup społecznych. Ten diabelski mechanizm kręci się niezmiennie w dalszym ciągu. Prawdopodobieństwo kolejnej totalnej i wielkiej wojny jest coraz większe, m.in., z powodu kryzysu i jego skutków.

Cóż więc robić w takiej sytuacji. Jedynym racjonalnym wyjściem jest powszechne zrezygnowanie raz na zawsze z siłowych metod rozwiązywania sporów i konfliktów, zaprzestanie produkcji narzędzi śmierci oraz zlikwidowanie sił zbrojnych i wszelkich formacji paramilitarnych przez wszystkich! Należy pozostawić tylko siły policyjne, niezbędne do utrzymania porządku i spokoju wewnętrznego. Produkcja, wdrażanie i stosowanie coraz nowocześniejszych narzędzi śmierci dochodzi już do absurdu. To jedna skrajność. Jej przeciwstawieniem byłoby solidarne i jednoczesne zniszczenie („na przemiał”) tych narzędzi. Dopóki będą one istniały, dopóty znajdą się okazje i chętni do ich stosowania.

Tak radykalne i bezprecedensowe globalne posunięcie rozbrojeniowe oznaczałoby, w praktyce,

odstąpienie ludzkości od dotychczasowej filozofii i praktyki wojny, zniszczenia i śmierci oraz zastąpienia jej przez filozofię i praktykę pokoju, budowania i życia. Innej drogi nie ma! Utopia? Być może – w obecnym stanie ducha decydentów i obywateli. Ale, jeśli ta utopia nie stanie się prawdziwie humanistyczną rzeczywistością, to życie na Ziemi okaże się koszmarem a następnie niemożnością. Albo, albo...!

Zagrożenia geoeconomiczne

Dziś sfera gospodarczo – finansowa stanowi, bardziej niż kiedykolwiek, materialne przyczyny już istniejących i kolejnych nieuchronnych niebezpieczeństw dla człowieczeństwa. Pogarszanie się sytuacji w tej mierze jest odczuwalne przez przytłaczającą większość ludzkości. Najnowszy kryzys globalny unaoczniał to z całą jaskrawością. Jak wykazałem powyżej, nakłada się na to marnotrawienie ogromnych środków przeznaczanych corocznie na zbrojenia i na prowadzenie wojen – zamiast na pokojowy rozwój. Mechanizm kreowania problemów ekonomicznych jest dość prosty, wręcz banalny. Ich liczba, tempo i ostrość stale wzrasta z rozmaitych powodów: przyrost naturalny, pauperyzacja społeczeństw, wyczerpywanie się zasobów naturalnych i rezerw surowcowych, niesprawiedliwy podział dochodów i dóbr, eksplozja zjawisk patologicznych (korupcja, malwersacje finansowe, neoliberalna ideologia pieniądza, protekcyjizm i in.), zażarta walka o rynki zbytu, zwiększanie się przepaści między (rosnącym) biegunem bogactwa i (także rosnącym) biegunem nędzy w świecie, brak odpowiedniego systemu rozwoju społeczno-gospodarczego i optymalnego modelu finansowego w poszczególnych krajach i na całym świecie oraz odpowiedniej koordynacji rozwoju gospodarczego w skali globalnej i wiele, wiele innych. Rzecz w tym, iż tempo przyrostu coraz poważniejszych problemów gospodarczych w poszczególnych krajach i na świecie coraz bardziej przewyższa tempo ich rozwiązywania. Skutek tego zjawiska jest ewidentny: dzień za dniem przybywa nierozwiązanych problemów, których łączna masa tworzy już coraz większą i coraz bardziej niebezpieczną ekonomiczną substancję wybuchową. Bezprecedensowa skala współczesnych zjawisk patologicznych, szczególnie niedorozwoju, głodu, chorób, bezrobocia i zadłużenia, jest tego wymowną ilustracją.

W okresie postjałtańskim istniała początkowo nadzieja, że powojenny świat wkroczy na bardziej efektywną ścieżkę rozwoju gospodarczego i wyciągnie wnioski z I wielkiego kryzysu (przełom lat 20-tych i 30-tych XX wieku) oraz z II wojny światowej. Tak się jednak nie stało. Obydwie części dwubiegunowego świata powojennego wdały się niezwłocznie w zawziętą rywalizację, zamiast współpracy, w intensywne zbrojenia i w wojny regionalne, zamiast pokojowego współistnienia, w szerzenie wrogości i nienawiści, zamiast przyjaźni i tolerancji. Nadzieja na lepsze szybko prysła jak bańka mydlana. Ludzkość może mówić o wielkim szczęściu, że skończyło się wówczas tylko na strachu i na kolosalnych stratach ekonomiczno-finansowych z tytułu bezproduktywnych poczynań, takich jak: przegrane wojny, nowoczesne zbrojenia, gwiazdne wojny i in.

Po raz drugi w czasach postjałtańskich, historyczna nadzieja na lepsze w sytuacji geoeconomicznej pojawiła się po upadku systemu dwubiegunowego, po rozpadzie Związku Radzieckiego i po obaleniu „muru berlińskiego”. Nieefektywne ustroje, występujące do tamtej pory w niektórych tzw. krajach totalitarnych, zostały zastąpione przez neoliberalne modele zachodnie, szczególnie przez amerykański. USA, jako supermocarstwo jednobiegunowe przez prawie 20 lat, usiłowały umocnić swą dominację w świecie i pokierować jego rozwojem na wzór i podobieństwo własne. Tak się jednak nie stało. Wielka szansa historyczna USA (zrobienia czegoś lepszego dla siebie i dla świata) została bezpowrotnie zaprzepaszczone. Amerykanów

zgubił ich egoizm i pazerność. Wzorce amerykańskie nie dały się efektywnie zastosować w innych krajach, nie wyłączając Polski. Nie powiodły się także próby narzucania siłą amerykańskiej „demokracji” i wolnego rynku na świecie. Krwawe i kosztowne doświadczenia Iraku, Afganistanu, Libii, Syrii czy Egiptu są tragicznym potwierdzeniem tej oceny. Mało tego, system neoliberalny splajtował także w swej własnej ojczyźnie, w USA, doprowadzając do wybuchu kolejnego globalnego kryzysu gospodarczego (z przełomu I i II dekady XXI wieku). Okazało się, iż Stany Zjednoczone nie mają recepty ani na własny rozwój, ani też, tym bardziej, na pomyślną ewolucję całego gospodarstwa światowego. Straty ekonomiczno–finansowe spowodowane już przez kryzys są olbrzymie (setki bilionów dolarów czy euro?) i wręcz niemożliwe do precyzyjnego obliczenia. Pewne jest natomiast, że rosną one nadal, i że odrobienie tych strat będzie już nieprawdopodobne.

W taki to sposób, skrajni neoliberalowie („niewidzialna ręka rynku”!?) i neokonserwatyści amerykańscy zahamowali normalny rozwój gospodarstwa własnego i światowego; ba, cofnęli wstecz rozwój naszej cywilizacji, skomplikowali i zaostrzyli występujące problemy ekonomiczno–finansowe oraz sprawili, że USA stają się supermocarstwem dekadentckim, staczającym się coraz szybciej po równi pochyłej – ku śmietnikowi historii. W pewnym sensie jest więc zrozumiałe, iż Stany Zjednoczone są coraz bardziej nerwowe, agresywne i aroganckie oraz – gdyby nie nastąpiła zmiana układu sił ekonomiczno–strategicznych na ich niekorzyść, mogłyby one wywołać wielką zawieruchę światową. Jednakże, w tej dramatycznej sytuacji gospodarstwa światowego, pojawia się, po raz trzeci w okresie postjałtańskim, kolejna historyczna nadzieja na lepsze. Jej materialnym wyrazem jest możliwość zastąpienia skompromitowanej dominacji i hegemonizmu amerykańskiego przez system wielobiegunowy na świecie oraz przez autentycznie nowy ład ekonomiczno–finansowy (i społeczno–polityczny). Ład bazujący (póki co, teoretycznie) na rehumanizacji stosunków międzynarodowych, na harmonijnym i zrównoważonym rozwoju, na pokojowej i równoprawnej współpracy wszystkich ze wszystkimi oraz na zasadach sprawiedliwości i poszanowania wzajemnego. Lokomotywą stymulującą nowy ład są Chiny oraz ich sojusznicy, szczególnie państwa BRICS. Porządkowanie współczesnych stajni Augiasza należy rozpocząć, naturalnie, od ich fundamentów materialnych, czyli od gospodarstwa światowego. Dlatego też, tej kardynalnej problematyce poświęcam relatywnie dużo miejsca w niniejszym opracowaniu.

Dramaturgia społeczno–demograficzna

Przedstawiona powyżej coraz trudniejsza sytuacja geopolityczna, geostrategiczna i geoelekonomiczna nie pozostaje, naturalnie, bez negatywnego wpływu na ewolucję geospołeczną oraz na tendencje demograficzne w świecie. Oczywiście, nie ma skutecznych i bezbolesnych możliwości uniwersalnych kontrolowania i optymalizacji rozwoju społecznego i przyrostu demograficznego (może z wyjątkiem Chin, w których obowiązuje nadal rygorystyczny model rodziny: 2+1). Jednakże, inne kraje i cały świat nie zdobył się jeszcze na unormowanie sytuacji oraz na uniknięcie obecnego chaosu i żywiołowości w tej dziedzinie. Gdyby ten stan rzeczy miał utrzymywać się nadal, to naszej cywilizacji groziłaby niewyobrażalna katastrofa ogólnoludzka – z powodu znacznego przyrostu ludności w warunkach skażenia środowiska naturalnego, klęsk żywiołowych oraz: niedostatku żywności, wody pitnej, opału, dachu nad głową, zasobów surowcowych czy lekarstw. Poczynania ONZ, FAO, ŚOZ i in. są niedostateczne w tej mierze. Np. the UN Population Division zajmuje się, głównie, publikowaniem danych statystycznych i prognoz demograficznych, których i tak potem nikt nie bierze poważnie pod uwagę i nie wykorzystuje w praktyce. Tak więc, sławetna „bomba

ludnościowa” ("population bomb") tyka już coraz głośniej i natarczywiej.

Powiedzmy najpierw o jej najważniejszych aspektach ilościowych (na podstawie danych ONZ-owskich): w październiku 2011 r. liczba ludności świata przekroczyła 7 mld. Obecnie wynosi ona 7,3 mld (2,5 mld – w roku 1950). W 2012 r. urodziło się 135 mln nowych obywateli i zmarło 56 mln. Globalny przyrost naturalny jest więc relatywnie niewielki – 1,1%, czyli o połowę mniejszy niż w rekordowym roku 1963 (2,2%). Na średnią kobietę (w wieku rozrodczym) przypada 2,52 dziecka; przy czym wszelkie rekordy w tej mierze bije Afryka Subsaharyjska, szczególnie Niger (7,6 dziecka; dla porównania – w USA: 1,9 dziecka na kobietę, średnio). Globalnie, stosunek kobiet do mężczyzn wynosi jak: 1 do 1,01. Średnia długość życia Ziemiaków osiągnęła obecnie 68 lat (69 lat – kobiety i 65 lat – mężczyźni). Najwięcej ludzi zamieszkuje w Azji – 4,3 mld (ponad 60% ogółu); II miejsce zajmuje Afryka – ponad 1 mld (15%; przy czym liczba ludności tego kontynentu ulegnie podwojeniu – 2,5 mld – do roku 2050); III miejsce: Europa – 740 mln (11%) i IV miejsce: Ameryka Północna – 353 mln (5%). Najwięcej obywateli mają obecnie Chiny (ponad 1,3 mld, wśród których dominująca grupa etnicza Han jest jednocześnie najliczniejszą na świecie) oraz Indie (1,27 mld). Do roku 2050 ta kolejność może ulec odwróceniu: Indie 1,7 mld; Chiny – 1,5 mld.

Analiza jakościowa: suche dane statystyczne nie odzwierciedlają powagi sytuacji związanej z „bombą ludnościową”. Dla uzyskania pełni obrazu, trzeba na nią spojrzeć także z uwzględnieniem kryteriów jakościowych. Jest to jednak zadanie niezwykle trudne, bowiem istnieją diametralnie odmienne prognozy demograficzne dla świata na okres do 2050 roku. Przeważa opinia, iż – w tym terminie – liczba ludności naszej planety przekroczy 11 mld. Traktowana jest ona jako maksymalny „pułap wytrzymałości” Ziemi w zakresie zapewnienia choć minimalnych warunków utrzymania przetrwania (survival) dla zdecydowanej większości Ziemiaków. Reprezentantem drugiej skrajności w prognozach jest neomalthusiański uczonec, prof. Richard Duncan, który przewiduje, iż – do roku 2050 – liczba ludności świata spadnie do 2 mld (!) – z braku pożywienia, lekarstw i innych środków do życia oraz z powodu globalnej katastrofy gospodarczej. Zmniejszanie liczebności obywateli Polski dokonuje się już w coraz szybszym tempie.

Tak czy inaczej, utrzymanie stopy przyrostu demograficznego i liczby ludności świata na optymalnym poziomie jest wielkim problemem makro naszej cywilizacji. Nie ma odpowiedniej recepty na rozwiązanie tego problemu. Pojawiają się nierzadko propozycje absurdałne i drastyczne, niekiedy neomalthusiańskie: poprzez wojny, terroryzm, zjawiska patologiczne, głód, epidemie (AIDS, Ebola, ptasia grypa i in.) można by doprowadzić nie tylko do optymalizacji lecz, wręcz, do znacznego zmniejszenia dość szybko rosnącej liczby ludności świata. Dla przypomnienia: uczonec brytyjski, Thomas Malthus, przewidywał (już w roku 1798) spadek tej liczby w XIX wieku i później – z powodu braku żywności. Prognoza ta nie sprawdziła się jednak – bowiem „zielona rewolucja” w świecie, w latach 1950–1985, doprowadziła do wzrostu globalnej produkcji artykułów rolno-spożywczych o 250%. Ale dziś to za mało. Decydenci cierpią jednak nadal na „kompleks Malthus’a”, czego dowodem jest ich dążenie do maksymalizacji produkcji rolnej za wszelką cenę (chemizacja, klonowanie, rośliny i zwierzęta hodowlane „genetycznie modyfikowane” itp.). Jest to jednak broń obosieczna mogąca doprowadzić do wynaturzenia, do demoralizacji i do degeneracji rodzaju ludzkiego. Bardzo wiele do życzenia pozostawia jakość życia (quality of life, living standards) przeważającej większości wielomiliardowych mas ludzkich na Ziemi. To nie jest normalne życie, to nędzna wegetacja. 60% spośród nich zamieszkuje w krajach najbiedniejszych – zacofanych w rozwoju lub rozwijających się. ONZ prognozuje, że wskaźnik ten wzrośnie do 80% – w roku

2050 i do 85% – w roku 2100. Marny ich los. Nawet w USA prawie 50 mln obywateli żyje w biedzie, poniżej minimum socjalnego (poverty level), które tam wynosi około 22.000 USD rocznie. Jednocześnie, w reszcie świata liczba ludzi dysponujących zaledwie 1 – 2 USD dziennie na swe utrzymanie przekroczyła już 2 mld osób. Jeszcze więcej Ziemi nie ma dostępu do czystej wody pitnej. Np. tylko w Pakistanie, na prawie 200 mln mieszkańców, aż 60 mln pozbawionych jest czystej wody do picia. Inna plaga: bezrobocie – w czasie kryzysu globalnego wzrosło ono do ponad 250 mln osób. Liczbę tę należy pomnożyć przez 4 (członkowie rodzin bezrobotnych) celem uzyskania rzeczywistego obrazu tragicznej sytuacji w tej mierze. Kryzys, szczególnie bezrobocie i zadłużenie, przyczynia się też do wzrostu ilości zabójstw i samobójstw. Według danych Światowej Organizacji Zdrowia, liczba samobójstw wśród mężczyzn w UE i w USA wzrosła o prawie 10% od początku kryzysu.

Kolejny problem: starzenie się społeczeństw dotykające, szczególnie, obszarów zasobnych, np. Europa, ale również rozwijających się Chin (to jeden z efektów rygorystycznej polityki rodzinnej: 2+1). Już obecnie liczba mieszkańców Ziemi w wieku powyżej 60 lat wynosi około 850 mln osób. Ma ona wzrosnąć do 2 mld – w roku 2050 i do 3 mld – w roku 2100. W Chinach liczba osób powyżej 60 lat oscyluje obecnie wokół 15%, (osiągając 25% w wielkich miastach, np. w Szanghaju). Łącznie – jest to prawie 200 mln ludzi, spośród których około 50 mln żyje w biedzie). Do roku 2050 ww. wskaźnik osiągnie 34% – w odniesieniu do całych Chin. Szybkie starzenie się społeczeństwa stanowi już poważny problem polityczny, społeczny i ekonomiczny dla tamtejszych władz. Jest to także problem globalny – z uwagi na fakt, iż ludność Chin stanowi około 20% całej ludzkości. Właśnie starzy i najstarsi obywatele Ziemi oraz dzieci cierpią najbardziej wskutek zaostrzających się trudności, niebezpieczeństw, niedomagań, niesprawiedliwości, patologii i plag trapiących dziś całą naszą cywilizację.

Doszła ona to takiego etapu w swoim rozwoju, na którym dokonuje się bezprecedensowa dehumanizacja w stosunkach społecznych, gospodarczych, politycznych i międzynarodowych – na wszystkich szczeblach drabiny hierarchicznej: od poszczególnych jednostek do całej ludzkości. Cena życia ludzkiego i dobra człowieka jest coraz niższa. W naszych czasach jest to, przede wszystkim, skutkiem neoliberalnej ideologii pieniądza, pogoni kapitału i bogatych za zyskiem, a wszystkich ludzi – za pieniądzem. Ideologia i praktyka tego rodzaju, w której człowiek traktowany jest jak towar czy śmieć lub jeszcze gorzej, pozostaje w jaskrawej sprzeczności z istotą człowieczeństwa, z godnością rodzaju ludzkiego i ze szczytnymi ideałami humanizmu. Gdyby miało to trwać dalej, wówczas coraz większe masy ludzkie skazane byłyby na poniżenie, na nędzną wegetację i na zagładę. Z powyższej analizy wynika, iż w skali geospołecznej i w ramach poszczególnych krajów, palącym zadaniem jest rehumanizacja życia i pracy, czego warunkiem jest odstąpienie od ideologii pieniądza i od praktyki z nią związanej oraz postawienie troski o dobro człowieka na pierwszym miejscu. Pewne nadzieje w tej mierze należy wiązać z obecnymi zmianami w układzie sił globalnych, z przekształceniami systemowymi oraz z budową nowego (wielobiegunowego) ładu politycznego, ekonomicznego i społecznego na świecie. Pytanie tylko, czy nie jest już zbyt późno, żeby nie dopuścić do globalnej katastrofy społecznej i demograficznej na Ziemi?

Perturbacje geoeekologiczne

Wokół widma katastrofy ekologicznej, zmian klimatycznych, ich przyczyn i konsekwencji, toczą się od dawna zażarte spory, szczególnie między ekologami a przemysłowcami, między rządzącymi a rządzonymi oraz między państwami rozwiniętymi a rozwijającymi się i in. Osia sporów jest, m.in., brak jasności, jeśli chodzi o dowody: czy główne przyczyny tych zmian

wynikają ze zjawisk i z procesów naturalnych? Czy też są one konsekwencją irracjonalnych i samobójczych poczynań ludzkich, zwłaszcza w produkcji przemysłowej i rolniej, w rabunkowej gospodarce surowcowej i w postępującej destrukcji środowiska naturalnego na Ziemi? Nie ma racjonalnej – naukowej i praktycznej – możliwości jednoznacznego rozstrzygnięcia tego sporu. Fachowcy i zwykli obywatele oscylują w swych rozważaniach od jednej skrajności do drugiej. Jedni twierdzą, iż nadchodzi wielkie ocieplenie atmosfery i powierzchni ziemskiej. Np. uczeni ze znakomitego ośrodka badań klimatycznych Uniwersytetu w Cambridge prognozują, iż – wskutek ocieplenia i przyspieszonego topnienia lodów – poziom wód oceanicznych podniesie się o 7 m (!) już w niedługim czasie. Inni zaś głoszą, że wkraczamy w kolejną epokę lodowcową! Np. geofizyk prof. Victor Manuel Velasco Herrera (Universidad de Mexico) jest zdania, że – za 5 lat – Ziemia wejdzie w małą epokę lodowcową, która może potrwać około 60 – 80 lat. Związane byłoby to z osłabieniem aktywności Słońca.

Znamienne jest jednak, iż zdecydowana większość uczonych – ekologów, klimatologów, geofizyków i innych – podziela pogląd, iż klimat ulega przyspieszonym i nieodwracalnym (w znacznym stopniu) zmianom na gorsze, będącym w przeważającej mierze wynikiem działalności ludzkiej. Nawet jeśli by przyjąć, że natura i człowiek ponoszą w analogicznym zakresie (np. 50% : 50%) odpowiedzialność za zniszczenia ekologiczne (ecological disasters) i za zmiany klimatyczne (climate change), to i tak skala głupoty i krótkowzroczności ludzkiej jest przeogromna. Rzecz oczywista, człowiek nie ma wpływu na zjawiska naturalne: promieniowanie słoneczne i kosmiczne, uderzenia asteroidów, wibracje pola magnetycznego, wybuchy wulkanów, trzęsienia ziemi, tsunami i in. Ale jednocześnie ten sam człowiek ponosi wielką odpowiedzialność za ustawiczne niszczenie swego środowiska naturalnego, co wywiera bardzo negatywny wpływ na warunki życia i rozwoju rodzaju ludzkiego oraz wszystkich gatunków fauny i flory na Ziemi.

Lista grzechów, niedociągnięć i błędów ludzkich w tej mierze jest bardzo długa, szczególnie w okresie od I rewolucji przemysłowej. Wymieńmy przykładowo tylko niektóre z nich: rabunkowa eksploatacja zasobów naturalnych, niekontrolowany przyrost demograficzny, za którym nie nadąża produkcja towarów i usług, żywiołowy rozwój gospodarczy, szczególnie industrializacja, emisja gazów przemysłowych, zwłaszcza dwutlenku węgla, dwutlenku siarki, metanu i aerozoli do atmosfery, wybuchy i katastrofy nuklearne (cywilne i wojskowe), nadmierna urbanizacja, zanieczyszczanie gleby, wody i powietrza, pożary lasów, wzrost natężenia hałasu (tzw. noise pollution) oraz zaśmiecanie wokółziemskiej przestrzeni kosmicznej, wycinka lasów tropikalnych, szczególnie amazońskich, środkowo-afrykańskich i indonezyjskich, tzw. zielonych płuc Ziemi i wiele innych.

W czasach nowożytnych i współczesnych połączone (obiektywne) czynniki pozaziemskie i (subiektywne) działania człowiecze spowodowały już bezprecedensowe i bardzo groźne pogorszenie sytuacji geoekologicznej (oraz w skali poszczególnych krajów). Wywiera ona coraz bardziej negatywny wpływ na wszystkie istoty żywe na Ziemi, grożąc ich metamorfozą, degeneracją, obumieraniem i zagładą. Dotychczasowe konsekwencje i niebezpieczeństwa ekodestrukcji dostrzegalne są nie tylko przez uczonych, ale i przez większość zwykłych obywateli. I znów, wymieńmy tylko najważniejsze konsekwencje negatywne: wzrost emisji gazów przemysłowych; niszczenie warstwy ozonowej; efekt cieplarniany, ewidentne podnoszenie się temperatury powietrza i wód oceanicznych; zmiany klimatyczne (także w zakresie pór roku) i nasilanie się ekstremalnych zjawisk pogodowych (powodzie, susze, tajfuny i in.); zakłócenia w obiegu prądów oceanicznych; obumieranie raf koralowych; topnienie lodów, szczególnie pokryw lodowych Arktyki i Antarktyki; podnoszenie się poziomu wód oceanicznych;

rozmrzanie wiecznej zmarzliny, co powoduje „ucieczkę” metanu do atmosfery, potęgującą efekt cieplarniany; pustoszenie i stepowanie (jest prognoza, iż lasy amazońskie staną się sawanną relatywnie niedługo); coraz bardziej dotkliwy brak czystej wody; przesuwanie się granicy chorób i szkodników tropikalnych coraz bardziej na północ; ryzyka egzystencjalne związane z inżynierią genetyczną, z klonowaniem oraz z innymi eksperymentami biotechnologicznymi i nanotechnologicznymi; efekty użycia broni masowej zagłady oraz awarie w elektrowniach nuklearnych; bieda (także o podłożu ekologicznym), szczególnie, w krajach zacofanych i rozwijających się, co już powoduje coraz większe fale migracji, np. między Ameryką Południową a Północną, Afryką a Europą oraz na Dalekim Wschodzie i w strefie Pacyfiku (mieszkańcy zatapianych państw wyspiarskich emigrują na tereny wyżej położone – Australia, Nowa Zelandia itp.) oraz wiele innych dramatycznych konsekwencji praktycznych. Słowem, poważnych zagrożeń geoeologicznych jest coraz więcej. Decydenci orientują się nieźle w tej materii – ale niezbędne przeciwdziałania i poczynania profilaktyczne na gruncie krajowym i międzynarodowym są ciągle niedostateczne. Im bardziej owe dysproporcje się pogłębiają, tym bardziej perspektywa globalnej katastrofy ekologicznej staje się realna i wręcz nieunikniona. Materia ekologiczna jest tego rodzaju, iż problemów nie uda się rozwiązać w pojedynkę. Niezbędny jest radykalny i skoordynowany wysiłek wszystkich ludzi, wszystkich państw i rządów oraz wszystkich organizacji międzynarodowych. Inaczej czeka nas marny los. Przykładów impotencji i złej woli w zakresie ochrony środowiska jest multum: ciągłe jego zanieczyszczanie (pollution), bezproduktywne konferencje ekologiczne, nieefektywna realizacja umów międzynarodowych, w szczególności, tzw. Protokołu z Kyoto (z dnia 12.12.1997 r.). Został on przedłużony (w roku 2012) na okres do roku 2020. Dotyczy ograniczenia emisji gazów przemysłowych w państwach rozwiniętych. Ale który rząd (łącznie z polskim) zdobędzie się na radykalne ograniczenie produkcji przemysłowej, żeby zmniejszyć emisję gazów? Rzadko który – czyli prawie żaden. Skutki są przerażające, np. w odniesieniu do wydzielania dwutlenku węgla do atmosfery: globalnie (łącznie) – ponad 35 mld ton, w roku 2012 (!). Niechlubna pierwsza „10-tka” państw uprzemysłowionych emituje razem około 70% z tej ilości; a mianowicie: 1. Chiny – 8 mld ton; 2. USA – 6 mld; 3. UE – 5 mld; 4. Indie – 2,5 mld; 5. Rosja – 2 mld; 6 – Japonia – 1,5 mld; 7. Niemcy – 1 mld; 8. Kanada – 600 mln; 9. Iran – 550 mln i 10. Korea Płd. – 500 mln ton (dane przybliżone na podstawie statystyk ONZ-owskich). Globalne koszty i straty powodowane przez niszczenie środowiska naturalnego są olbrzymie, coraz większe i nieobliczalne. Jeszcze jako tako można je skalkulować w odniesieniu do poszczególnych epizodów – powódź, susza, pożar i in. W takiej sytuacji, bujnej wyobraźni Szanownych Czytelników polecam jedynie niektóre główne elementy składowe owych kosztów i strat w poszczególnych rodzajach „pollutions” – proszę liczyć samemu: a. zanieczyszczanie powietrza pociąga za sobą – nakłady na leczenie chorób z tym związanych i na oczyszczanie powietrza; b. skażenie wód – nakłady na leczenie, na oczyszczanie wody i na regenerację zniszczonych ekosystemów; c. zanieczyszczenie gleby – straty w produkcji rolnej, koszty zmian i przenoszenia tej produkcji gdzie indziej, podatność zdegradowanych obszarów na klęski żywiołowe (i nowe straty); d. zwiększenie natężenia hałasu – koszty leczenia, nakłady na ochronę przed hałasem, na odszkodowania (np. za huk startujących samolotów, ruchu kołowego itp.); e. wycinka i pożary lasów – koszty ich regeneracji i profilaktyki antydeforestacyjnej oraz wielkie straty globalne z powodu deforestacji; f. degradacja wybrzeża i wód przybrzeżnych – nakłady na ratowanie ekosystemów i na ochronę pasa przybrzeżnego (osiedla ludzkie, zakłady pracy, plaże, wydmy itp.).

IV. KONKLUZJA

W sumie, nie może być jeszcze mowy o praktycznej realizacji szczytnych ideałów zrównoważonego rozwoju świata (sustainable development), kojarzącego proporcjonalnie i harmonijnie czynniki ekonomiczne, społeczne i ekologiczne. Na dziś, żaden z tych czynników nie spełnia elementarnych, acz rygorystycznych wymagań zrównoważonego rozwoju. Poza wszystkim, jak widać to jaskrawo przez pryzmat sytuacji geoekologicznej, większość działań „wspólnoty międzynarodowej” i poszczególnych krajów jest spóźniona o dwie epoki (industrialną i postindustrialną). Obrazowo mówiąc, Ziemia – jako wspólny dom człowieczy – jest w ogniu, straż pożarna jedzie ślamazarnie do pożaru, ale nie ma pewności, czy zdoła dom uratować? Tymczasem mądrość ludzka powinna polegać na tym, żeby (profilaktycznie) nie dopuścić do pożaru. Jest w opracowaniu niemało rozważań dotyczących niezbędnych i pilnych rozwiązań oraz oznak nadziei, że nie wszystko jest jeszcze stracone. Jednak – żeby tak się stało – ludzkość musi niezwłocznie odstąpić od fatalnych teorii i praktyk z całej niedobrej przeszłości, wyciągnąć z niej stosowne wnioski oraz wypracować i wdrożyć optymalną (innowacyjną) formułę lepszej przyszłości.

Sylwester Szafarz dr ekonomii, dyplomata, publicysta